



Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył

A. S.

8

Ciąg dalszy nastąpi.

Iwan zaklął wściekle, cofnął się i przyłożył dubeltówkę tak, jakgdyby chciał Wierze wpakować kulę w piersi, ale w tej chwili stary Lubasz rzucił się nań, jak szalony.

— Nie tykaj mi dziecka! rozumiesz?!... — zakrzeczał — jak chcesz już mordować, to morduj mnie, ty psi synu!

Iwan opuścił strzelbę i spojrzał złowrogo na starego.

— I cóż mi przyjdzie z tego, jak zamorduję ciebie, albo tę dziewczę? — krzyknął — o tamtego psa mi chodzi — i pewnie dostanę go w swoje ręce!...

I parobczak, nie zważając na burzę, olbrzymimi krokami podążył w stronę lasu.

Wiera miała słuszną rację, mówiąc, że Iwan zna las tak dokładnie, jak swoją kieszeń. Przecież całymi nocami uganiał się po borze za zwierzyną, więc mógł znać każdy krzak, każde drzewo.

Drwiąc sobie z śnieżnej zawiei, kroczył szybko naprzód, patrząc bacznie, czy też przypadkiem nie ujrzy przed sobą Włodzimierza, bo któregoś on poszedł, o tem wiedział dobrze. Gdzież indziej, jak nie do folwarku?... Przecież naokół było pustkowienie...

— Wskazała ci psie Wiera drogę! — mruczał pod nosem — ale nim ty dojdiesz do celu, ja ci grób otworzę!

— I Iwan wykreślił na wąską drogę, prowadzącą do folwarku. Nie miał światła, więc nie mógł widzieć śladów Włodzimierza, ale węch miał za to nie gorszy od psów gończych.

— Przysięgam! — myślał — że on szedł tędy przed chwilą! Daleko mnie pewnie nie odbiegł, więc dogonię go! dogonię, a wtedy...

W tej chwili wichura złamała gałąź, która z hukiem zwała się nań, kalecząc mu czoło, ale to tylko wzmożyło jeszcze jego wściekłość.

— Czort! — krzyknął — niech niebo i ziemia go broni, ale ja dostanę go w swoje ręce!

Tymczasem Włodzimierz, znalazłszy ścieżynę, o której mówiła mu Wiera, biegł szybko, wyczerpując ostatnie siły. Ciężkie, ciepłe futro i sukienne buty kępowały jego ruchy, ale nie wiedząc, czy zdoła dobieść się do folwarku, czy też będzie musiał przenocować w lesie, nie chciał się ich pozbywać. Od czasu do czasu nadśluchiwał, czy ktoś za nim nie goni i niebawem usłyszał szmer poza sobą.

Ścigano go więc!

Nie miał broni, więc ratunek miał tylko w ucieczce. Gdyby przynajmniej zdołał dotrzeć do folwarku! Ach! wtedy byłby ocalony, wtedy mógłby nawet pomyśleć o zemście na mordercach! Latarka migotała się jeszcze, więc Włodzimierz widział drogę przed sobą, ale widział, że prócz boru, nic niema dokoła.

W tej chwili huknął strzał. Kula przeleciała mu koło uszu. Więc nietylko był ścigany, ale, co gorsza, został odkryty.

— Nadchodzi śmierć! — pomyślał sobie, ale nie chciał dać za wygraną.

Zebrał wszystkie siły i pędem puścił się naprzód. Wbiegł na jakąś polankę i stanął zdumiony. Wiera nie mu o niej nie wspominała.

— Zabłądziłem! zginałem! — ta myśl, jak błyskawica mignęła mu w głowie.

Przerażony podniósł w górę latarkę, aby zobaczyć, którędy ma zwrócić swe kroki.

W tej chwili rozległ się znowu huk strzału. Szkło posypało się z latarki i światło zgasło.

Następowało mu już na pięty.

Wśród ciemności dojrzał rozłożysty krzak, więc postanowił się tam ukryć. Jednym skokiem znalazł się pod nim i — wpadł prawie po szyję do śniegu. Zrazu chciał się wydobyć z tej zasy, ale siły go już opuściły...

Jakiś cień przesunął się koło krzaka z dzikiem przekleństwem. Włodzimierz poznał głos Iwana.

— Gdzie się ukrywasz, ty psie podły?! — krzyknął parobczak. — mów! mów! niech oczy nasycę twoim konaniem!...

Włodzimierz przygryzł wargi. Odpowiedź rwała się mu na usta, ale czuł, że gdyby się tylko odezwał, zginałby, a nikt nie zdołałby nawet odkryć zbrodniarza. Nie był tchórzem i nie chodziło mu o życie, ale pamiętał o swoim obowiązku, wiedział, że musi milczeć, jeśli chce wydać morderców w ręce sprawiedliwości.

Śnieg sypał nań gęstymi płatami i powoli przybijało go coraz więcej, zasypywał mu twarz i ręce, a Włodzimierz mimo to nie ruszał się wcale. Gdyby z pół godziny musiał tak leżeć, z pewnością nigdyby już więcej światła bożego nie oglądał!...

— Że też do czorta nie wziąłem sobie latarki! — zaklął gdzieś w pobliżu Iwan — teraz trupa nawet odszukać nie mogę.

Detektyw słyszał jego ciężkie kroki, oddech sapiący i poznał już — że zmęczony szukaniem bezowocnym wraca do gospody. Ale choć prócz pogwizdów wiatru niczego słyszeć nie było, długo jeszcze pozostawał w swej kryjówce, aż na koniec wypełznął z niej i złany potem stanął znów na polance. Naprzeciw niego, tuż za pobliskim krzakiem, jak dwie gwiazdy, błysnęła para oczu. Włodzimierz rzucił się w tę stronę, jak oszalały. Błyszące oczy zniknęły i tylko szelest cichy dał się słyszeć. To wilk, ale zapewne nie głodny, bo uciekł przed Włodzimierzem.

Z Iwana nie było ani śladu. Zbrodniarz posunął się naprzód i tam przetrząsał krzaki. Znał dobrze ten las i wiedział, że na każdym kroku jest pełno rozpadlin, dołów i wykrotów. Był więc pewny, że Włodzimierz, straciwszy latarkę, zmylił drogę i teraz leży zraniony gdzieś wśród śniegu, wydając ostatnie tchnienie.

Zbrodniarz całą godzinę kręcił się tam i napowrót, zaglądał do każdego wywrotu, pod każdy krzak, ale nie mógł odszukać postrzelonego — jak mu się przynajmniej zdawało — przeciwnika, więc w końcu udużony powrócił do gospody.

W gospodzie pogasły już światła. Iwan wszedł do środka i stanawszy w szynkowni zapalił lampę. Na ławie pod ścianą leżał stary Lubasz i w milczeniu spoglądał na parobka.

— Hej! — odezwał się Iwan, rzucając na stół dubeltówkę — zdaje mi się, że już nam ten łotr nie zaszkodzi! Ale złość mnie porywa, gdy myślę

o tej dziewczę, która pokrzyżowała nam wszystkie plany. Co jej do tego? Czego ona miesza się do nas? Czy chce może, żeby nas ten łajdak zakuł w kajdany, jeśli naprawdę udało mu się uciec?!

— Co z nim zrobiłeś? co się stało? — zapytał posępnie Lubasz.

— Nie wiem, czy która z moich kul go trafiła — odrzekł Iwan — ale mierzyłem dobrze i ręka mi nie zdrząła. Szedł z latarnią, którą mu Wiera dała i po drugim strzale latarnia zgasła... Szukałem go, ale nie mogłem znaleźć. Pewnie ranny powlókł się jeszcze parę kroków i wpadł do jakiegoś dołu, gdzie go śnieg zasypie i aż do wiosny będziemy mieli spokój. Na wiosnę zaś ja go odszukam i postaram się mu o nogię.

— A jeśliś go nie trafił? jeśli uciekł i sprowadzi nam na kark żandarmów?...

Iwan wstał z ławy i błyszczącymi oczami spojrzał na starca.

— Zobaczmy! — odezwał się — już ja w tych dniach dobrze się będę pilnować, a gdybym tylko dostrzegł coś podejrzanego, tak przedewszystkiem zemszczę się!... Ubiję Wierę!... Ale do tego nie przyjdzie! Do ośmiu dni nabierzemy pewności, a wówczas ani chwili dłużej czekać nie myślę! Rozumiesz stary! ośm dni czekam, a potem dziewczka musi być moja!...

Iwan przeciągnął się i stanął na progu szynkowni.

— Dobrej nocy, Wasyl! Czas spać po dzisiejszej pracy! A mógłbyś z nią pogadać, żeby się tak nie boczyła na mnie, bo jak złéć mię porwie za jej dzisiejszy postępek, to nie ręczę za siebie i za to, czy jej prostej drogi do nieba nie obmyśle!

Iwan wyszedł z izby i zatrzasnął drzwi za sobą, a Wasyl podniósł się z ławy i podszedł w kąt, gdzie nad szynkwą wisiał obraz Matki Boskiej kazańskiej. Starzec dawno już zapomniał pacierza, dawno nie ugiął kolan przed świętym obrazem, ale dziś jakaś dziwna, niewidoma siła pędziła go w ten kąt, z którego Boża Macieć spoglądała nań surowym, zagniewanym wzrokiem.

Chciał się modlić, ale słowa zamierały mu na ustach. Powoli chylił się coraz bardziej ku podłodze, aż wreszcie padł jak długi i w szynkowni rozległo się głośnie chrapanie.

Włodzimierz szedł dalej przez las. Wprawdzie zrazu nogi odmówiły mu posłuszeństwa, ale siła woli zwyciężyła znużenie. Myśl o tem, że zbrodniarze powinni doznać zasłużonej kary i że tam w gospodzie pozostała Wiera, której życiu zagraża niebezpieczeństwo, dodawała mu bodźca.

— Niech się dzieje, co chce! — myślał — ja muszę wydestać się z lasu, muszę dobieść się do folwarku! Jeśli na chwilę spoczne tylko, zginałem! Usnę — i więcej się już na tym świecie nie zbudzę!...

Ocieżałym krokiem, mimo zupełnego wyczerpania i zmęczenia, ruszył naprzód, ale nim doszedł do najbliższego krzaka, zdawało mu się, że widzi tuż przed sobą postać staruszki swej matki. Skośtniała ręka nabrał śniegu i przetarł oczy.

— Halunacya! — szepnął — zaczynam tracić zmysły, gorączka mnie rozbiera... jeszcze kilka chwil i padnę bez przytomności... zgine w tem od-ludziu!